



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Torquato Tasso.

Odległa potomność oddaje zazwyczaj hołd tym wszystkim, co bądź wielkimi czyni, bądź też utworami swego geniuszu, zdobyli sobie prawo do nieśmiertelności. Rzadko kiedy bowiem owi wielcy i zasłużeni, bywali stosownie ocenieni za życia, przeciwnie, najczęściej zstępowali z palną męczeństwa do grobu, który dopiero o całe wieki później wieńcem laurowym zdobiono.

Do takich geniuszów-męczenników należał właśnie znakomity poeta włoski, Torquato Tasso, którego trzechsetletnia rocznica śmierci, przypadająca w r. b. obchodzoną jest uroczystością w całych Włoszech.

Urodził się on w Sorrento w r. 1544. Ojciec jego Bernard Tasso, obdarzony również bystrym umysłem, mianowany przez Wilhelma księcia Mantui, wielkorządcą miasta Ostiglii, pozostawił listy mające pewną wartość historyczną, oraz kilka poematów, z pomiędzy których jeden, pod tytułem: „Floridante”, został później ukończonym przez syna.

Młody jednak Torquato o wiele przewyższył ojca, pełnym twórczości talentem, żywością wyobraźni i gorącością uczucia.

Łatwo się domyślić jak hojnie musiał być uposażonym od natury, skoro już w trzynastym roku życia, mógł słuchać wykładów prawa w uniwersytecie, w siedemnastym zaś, napisał poemat: „Rinaldo”, któremu zawdzięczał pierwszą sławę.

W r. 1565 umieszczony został na dworze Alfonsa, księcia Ferrary, gdzie napisał słynną „Gerusalemę liberatą”, (Jerozolimę wyzwoloną), zatytułowaną najpierw: „Goffredo”, bohaterem jej bowiem był Godfred de Bouillon, znany w dziejach zdobywca Jerozolimy (15 lipca 1099 r.) w skutek czego został obwołany królem tego świętego miasta.

Poetyczna a ożywiona gorącą wiarą dusza Torquata, utworzyła na tle tego pamiętnego wypadku prawdziwe arcydzieło poezji, które obok rozgłosu, ściągnęło na niego niesprawiedliwą krytykę i prześladowanie rodaków.

Dreńczony, dotkliwymi przeciwnościami, do których łączył się niedostatek materyalny, popadł w melancolie, skutkiem której został zamknięty w domu obłąkanych, gdzie przepędził w najsmutniejszy sposób, siedm lat życia.

Tu należy wyjaśnić, że ówczesne zakłady dla chorych umysłowo, nie miały jak dzisiaj troskliwej opieki lekarzy i dozoru, ale stanowiły rodzaj kaźni, zdolnej nawet zdrowych doprowadzić do utraty zmysłów; to też i nieszczęśliwy Tasso wydobywszy się z tamtąd za pośrednictwem Wincentego Gonzagi, księcia Mantui, wiele utracił nie tylko na zdrowiu, ale i na energii swego potężnego ducha.

W Mantui, pod łaskawą opieką swego protektora, żyjąc nieco swobodniej, dokończył poemat ojcowski, Floridante i napisał tragedję: Torrismondo. Resztę lat życia przepędził w Neapolu, ostatnie zaś w Rzymie, gdzie Papież Klemens VIII oceniając wysoko jego poetyckie zasługi, postanowił go uwieńczyć publicznie w Kapitolu.

Ale Tasso ze smutnym uśmiechem odpowiedział tym,

k którzy mu przybyli oznajmić ten zaszczyt: „Wyższą nad wieniec kapitolu zgotował mi Bóg nagrodę: bo koronę wiecznego pokoju!”

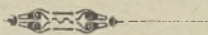
Wkrótce też rzeczywiście korona ta uprzedziła zgotowany mu wieniec laurowy i przybrała znużoną głowę poety. Umarł w 1593 r. w klasztorze św. Onufrego, w którego podziemiach spoczęły śmiertelne jego szczątki.

Papież Pius IX wznosił na grobie Tassa wspaniałą pomnik, a drugi dawniej jeszcze nieco w Bergamo.

Jerozolima wyzwolona, sprawiedliwie oceniona po śmierci poety, została niebawem przetłomaczoną na wszystkie języki.

U nas wzorowego jej przekładu, dokonał Piotr Kochanowski, synowiec Jana z Czarnolasu.

Oprócz tego tłumaczenia, ogłoszonego drukiem w roku 1618, posiadamy drugie, wydane w r. 1846-m przez Ludwika Kamińskiego.



W pustyniach Australii.

PRZEZ

Władysława Umińskiego.

(Dalszy ciąg).

Jerzy z niezadowoleniem przekonał się, że stary poszukiwacz złota miał przecucie; od owej rozmowy upłynęło bowiem dziesięć dni, a step spinifeksu ciągnął się wciąż, nieprzerwany nawet skrubem.

Karawanie groziło pragnienie; gdyż zapas wody, zabrany niedawno z napotkanego po drodze źródła, był prawie już wyczerpanym.

Na każdego członka wyprawy pozostawało zaledwie po dwa litry, nie licząc trochę mętów, przeznaczonych dla koni, które z powodu nieznośnego upału trzeba było poić dwa razy na dobę.

To też Dugan niecierpliwie wyglądał, rychło na horyzoncie ukaże się jaka większa góra, gdzie napewno można by napełnić worki; ze swej strony Hop czynił poszukiwania z wywieszonym językiem, nadstawiał nos pod wiatr, usiłując swym delikatnem powonieniem rozpoznać kierunek, w którym znajdowała się woda.

Pierwszy dzień świąt minął bardzo smutno, gdyż nie zatrzymywano się nawet dłużej, ażeby wypocząć; Dugan posuwał się naprzód aż do samego zachodu słońca, w nadziei, iż natrafi na jaką dziurę wodną, niby naturalną sadzawkę, gdzie przechowuje się woda deszczowa. Omylił się jednak; karawana rozłożyła się biwakiem w głuchym stepie; wszyscy upadali od znoju. Bob ugotował pięć szklanek herbaty, którą chciwie wypito. Taka mała doza płynu nie była wszakże wstanie usunąć nieznośne uczucie suchości w przewodzie pokarmowym, jakiej każdy doznawał oddawna. O obmyciu się z kurzu podróżni nie myśleli nawet; przetarto sobie tylko zaczerwienione powieki wilgotnymi listkami, wydobytymi z imbryka.

Następnego dnia, w drugie święto, od samego rana, słońce zaczęło zlewać na ziemię prawdziwe potoki subtelnego żaru; termometr wskazywał trzydzieści stopni Reaumura w cieniu, barometr zaś poszedł w górę o całe 5 milimetrów w przeciagu ostatniej doby; zanosilo się więc na suszę.

To spostrzeżenie zmartwiło Dugana; należało przysto-

wać się na wszystko najgorsze, nawet na pałący wiatr, który zrywa się czasem we wnętrzu Australii, i wypija w parę godzin zapas wody z worków podróżnika, osusza naturalne cysterny i czerni trawę na łąkach.

— Morbora! — rzekł p. Artur do przewodnika, który, nie bacząc na przynębiający upał, szedł wesoło na czele karawany. Jeżeli do jutra nie znajdziesz wody, to nasze nie-szczęśliwe konie padną.

— Nie, nie, niedaleko stąd spotkamy rzekę — odparł dziki, wywijając swym oszczepem.

— Skąd wiesz?

— Widzę ją!

— Gdzie?

— Ot tam, prosto.

Morbora zatrzymał się na chwilę i wyciągnął rękę w zachodnim kierunku. Żaden z podróżnych nie mógł jednak dostrzedz nic, coby zwiastowało sąsiedztwo rzeki; nawet perspektywy na nic się nie przydały.

— On kłamie — zawołał Tom. — Słuchaj no, ty czarny dyable, — dodał zwracając się do przewodnika, — nie radzę ci pozwalać sobie takich żartów!

— Daj mu pokój — odezwał się Jerzy; — cóżby mu zależało na tem, żeby nas w błąd wprowadzić?

— Może przypuszcza, że w zamian za nowinę otrzyma garść tytoniu... znam ja tych szelmów.

— Poczem poznajesz, iż znajdujemy się w pobliżu rzeki? — zagadnął Dugan.

— Bo tam rosną krzaki i trawa się zieleni.

— Ten czarny musi mieć idealny wzrok! — zawołał Dugan, patrząc znów przez lunetę; — przyznam się wam, że nawet uzbrojonom okiem nie jestem w stanie sprawdzić tych szczegółów.

— Ani ja — dorzucił doktor, składając swą potężną perspektywę.

— No, to się zobaczy — mruknął Bob. — Jeżeliby się okazało, że Morbora łże, to sprawimy mu porządną basarunek.

Zapewnienia murzyna obudziły nowe nadzieje w sercach spragnionych wędrowców; popędzano wielbłądy i zmuszano do kłusa zmęczone konie, byleby tylko jaknajprędzej dojechać do owej niewidzianej rzeki.

W godzinę potem Dugan z radością potwierdził spostrzeżenia murzyna; w pewnej bowiem odległości, ukazały się niskie krzewy, sterczące cokolwiek ponad otaczającą je spinifeks, i odbijające żywą zielonością na szarem tle stepu.

— Jeżeli to jest rzeczywiście rzeka, to niepojmuję, dla czego nasze konie zachowują się tak spokojnie — rzekł Abel. — Patrzcie, nawet Hops nie okazuje żadnego wzruszenia, a ma przecie doskonałe powonienie i zwierzyłby na pewno wodę z tej odległości.

— Bo niema wiatru — odezwał się Jerzy.

— Eh, i tak spragnione zwierzęta odczułyby wilgoć w powietrzu.

— To prawda — potwierdził Dugan, zamyślając się; — przypuszczam, że w korycie rzeki musi się znajdować mało wody, jak to się zwykle dzieje w naszej Australii.

Prawdopodobnie na dnie pozostały tylko kałuże. No, w każdym razie będziemy mieli czem napełnić worki i ugasić pragnienie.

— Ah, z jaką rozkoszą wykąpałbym się! — westchnął Jerzy, spoglądając na swe brudne ręce.

— Ja zaś marzę o tem, żeby wyprać bieliznę — odezwał się Abel. — Okropna to rzecz, doprawdy, ten brak wody. Ci, co mają jej podostatkiem, nie potrafią należycie ocenić dobrodziejstwa z jakiego korzystają.

Tak rozmawiając, posuwano się szybko ku zieleniejącemu zdala szlakowi; z pomiędzy krzaków strzelały tu i owdzie pojedyncze drzewka, znacząc kierunek, w jakim płynęła niewidzialna jeszcze rzeka.

— Szukaj Hops! — zawołał Jerzy, popędzając swego wielbłąda.

Pies, zachęcony przykładem pana, pobiegł naprzód, głośno szczekając i w kilka minut potem zniknął w gąszczu.

— Szukaj, szukaj! — powtarzał chłopiec.

Dotarłszy do pasma zieloności, Jerzy zginął z oczu towarzysza. Kiedy nareszcie karawana znalazła się nad rzeką, spostrzeżono Jerzego, który, stojąc obok wielbłąda nieruchomie, wpatrywał się w osłupieniu w płytkie koryto.

Niestety, rzeka nie zawierała ani kropli pożądaney wody, dno jej było usłane drobnym, żółto czerwonym piaskiem, zlekka pomarszczonym falą na powierzchni; gdzieniegdzie w głębszych miejscach rosły drobne krzewy i spalona słońcem trawa...

— Gdzież jest owa rzeka? — zagadnął doktor, oglądając się na wszystkie strony.

— Tutaj, stoisz pan nad jej brzegiem — odparł stary Bob, uśmiechając się.

— A woda?

— Pan byś chciał zaraz, żeby w rzece była woda! U nas w Australii няма tego zwyczajn.

— Więc strumień ten wysechł w skutek upałów?

— Nie.

— Jakto nie?

— On się tylko schował pod ziemię; trzeba go odkopać.

— Tak; Bob ma słusność; — potwierdził Dugan; — jest to hardzo prawdopodobne, że w głębszych miejscach koryta moglibyśmy dokopać się jeszcze wody. Należy spróbować.

— Gdyby to była glina stwardniała na słońcu, lub co innego, to nasze świdy w mgnieniu oka wyłobilyby nam małą studnię artezyjską — rzekł Jerzy; — ale piasek nie pozwala używać takich narzędzi.

— No, połowa ludzi w dół koryta, a połowa w górę! — zakomenderował Artur; — szukać wilgotnych punktów!

Wszyscy rozpierzchnęli się, aby spełnić ten rozkaz; Jerzy pospieszył w ślad za Hopem, który wiedziony ślepym instynktem węszył powierzchnię piasku.

— Szukaj, kochany piesku; pokaż co umiesz, pokaż! — mówił chłopiec, głaszcząc lśniąca sierść szlachetnego zwierzęcia.

Hops, poszczekiwał, kręcąc ogonem, jakby na znak, że rozumie czego od niego żądają. O kilkaset kroków od miejsca, w którym zatrzymała się karawana, koryto strumienia rozszerzało się nagle, a jednostajna powierzchnia, nagromadzonego tutaj piasku, świadczyła, że woda stała na niej nieruchomie, tworząc obszerną kałużę, która musiała wsiąknąć niedawno dopiero.

Rosło tu sporo trawy, miejscami jeszcze zielonej, karłowatych krzaków, mizernie wyglądających, lecz żywych; na cienkiej warstewce mułu zeskorupiałego, świeciły wybielone na słońcu skorupki muszel. Jerzy zauważył nadto w sąsiedztwie wybrzeża dość świeże stosunkowo ślady dziobaka, tego dziwnego kaprysu natury, zwierzęcia, środgującego pomiędzy sakami a ptakami.

— Tak, tu woda musiała stać najdłużej — pomyślał Jerzy!

I wyjąwszy nóż z kieszeni, zagłębił ostrze w piasek; poczem wyjąwszy, obtarł o palce.

Nie dostrzegłszy jednak żadnego śladu wilgoci, ułamał z pobliskiego krzaka pręt i z całych sił pogrążył go do połowy w ziemię.

— Co tu robisz? — zagadnął go, zbliżający się Dugan.

— Patrzę, czy nie byłoby korzystnie kopać pomiędzy tymi krzakami...

Podróżnik, obrzuciwszy uważnem spojrzeniem miejscowość, kiwnął potakująco głową.

— Bardzo być może; należy spróbować; weź więc łopatę zacznij robotę z Tomem do wspólni, ja zaś z Bobem będę szukał szczęścia gdzieindziej.

(d. c. n.)

PRZYŁĄDEK PÓŁNOCNY.

Co to za groźną pustkę widzimy dookoła, na tych skalistych wybrzeżach, powyszczerbianych w dziwaczne kształty.

To przyładek północny (Nordcap). ląd najwięcej wysunięty na północ Europy. Z przyczyny ostrości klimatu zamieszkaną tu jest jedynie wieś Kielwica, gdzie w porcie stoją okręty. Mieszkańcy jej trudnią się żegluga i rybołówstwem, oraz sprzedażą puchu gęsi edredonowych, po który z narażeniem życia wdrapują się na najwyższe skały. Góry Snehätta, których widzimy tu białe szczyty, przedstawiają również jeden z pełnych grozy widoków, jakich nie brak na całym półwyspie Skandynawskim.

Cały system górny tych odległych stron północy, odznacza się tem, że góry ciągnące się na tak rozległej przestrzeni, nie tworzą właściwie łańcucha, lecz na wschodniej stronie przedstawiają się jako groźne spadzistości, ku wschodowi zaś półwyspu, rozchodzą się na podobieństwo pochyłych tarasów, nieznacznie z sobą połączonych.

GÓRSKIE ZAMCZYSKO

opowiadanie z XIV wieku.

P. ZUZANNĘ MORAWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

Przybyli jednak tych cudów przyrody podziwiać nie mogli, jeden tylko biskup Gregorius, któremu wolno było zdjąć z oczu zasłonę, tak samo jak Gemen został olśniony widokiem, jaki przedstawiała pieczara. Lecz ustawa sądów tajemnych nie pozwalała im zwracać uwagi na to co ich otaczało, a więc biskup powstrzymawszy podziw, wyjął krzyż z zanadru, pobłogosławił nim na wszystkie strony pieczarę, a po odmówieniu krótkiej modlitwy, ozwał się do przybyłych w te słowa:

— W Imię Boga Najwyższego, który nakazał czynić sprawiedliwość na ziemi jako On ją czyni wszelakiemu stworzeniu, przysięgamy, iż sądzić będziemy obwinionego według prawa przez Fehmgericht ustanowionego, a sprawiedliwość uczynimy pokrzywdzonemu.

— Przysięgamy! — odpowiedzieli stowarzyszeni.

— A cokolwiek uszy wasze usłyszą, a wzrok przez pokrywającą go zasłonę dojrzeć zdoła, pozostanie tajemnicą, której nie wyjawicie przed ojcem i matką, przed siostrą i bratem, przed żoną i synem ani przed żadnem stworzeniem żyjącem, ani przed ogniem, wiatrem, ziemią i wodą, a sami o tem żeśmy sąd składali i o miejscu na którym takowy zwołany został, zapomnimy na wieki.

— Przysięgamy.

— A także jakikolwiek sąd na obwinionego wypadnie, śmierci, banicy, więzienia, odsądzenia od czci i wiary, wszyscy jak tu jesteście z wyjątkiem obżalowanego i mnie Gregoriusa biskupa a pomocnika i pełnomocnika arcybiskupa Salzburskiego Wilhelma von Areo, który tę przysięgę odbieram, a który jako duchowny kary własną ręką spełniać nie mogę — obowiązujecie się do spełnienia naznaczonego wyroku?

— Obowiązujemy!

— Przysięgacie?

— Przysięgamy! — zawołano wznosząc prawicę do góry *).

Po odebraniu przysięgi od każdego z osobna, Gregorius zapytał:

— Robercie, hrabio na Hofsteinie, czy masz jeszcze co do powiedzenia dla wyjaśnienia sprawy, dla poszukiwania krzywd, jakie poniosłeś?

— Krzywdy moje: utrata żony i dziecka, w perzynę obrócony zamek mój i kości wyciętej załogi, walające się wśród jego gruzów świadczą o mojej krzywdzie — odrzekł Robert z boleścią.

— Co cię naprowadziło na ślad krzywdziciela?

— Pogrożki jego i niechęć jaką mi zawsze okazywał, a zresztą puhar złoty zrabowany z mojego skarbcza, który

nego drogiego napoju, ile z tego puharu na zamku Hofsteina wychyliły — odrzekł zagadniony.

— Czy skargę Roberta za słuszną uważacie? — zapytał znowu Gregorius.

— Boga mi, za najsłuszniejszą! — odpowiedziano jednogłośnie.

— Świadeństwo sekretarza sądów tajemnych za dostateczne?

— Tak, bo gdyby świadczył przeciw prawdzie, ręka sprawiedliwości Bożej i ręka Fehmgerichtu nie minęłyby go nigdy.

— Jakąż naznaczymy zbrodniarzowi karę? — zapytał biskup.

— Życie za życie!



Góry Snehätta.

znalazłem złamany, walający się w opustoszałym zamku Siebenhausa, doskonałem jest świadectwem przeciw obwinionemu.

To mówiąc ukazał pogięty i spłaszczony puhar i podał go biskupowi.

— Czy kto więcej znał ten puhar będący waszą własnością? — zapytał biskup.

— Znało go wielu goszczących ongi na zamku Hofsteinów, a znał go też doskonale mój przyjaciel obecny tu sekretarz naszych sądów.

— Rycerzu i sekretarzu Fehmgerichtu, czy możesz stwierdzić przysięgą, iż okazany mi pogięty i spłaszczony puhar widywałeś na zamku Roberta Hofsteina?

— Nietylko żem go widywał, ale zapewne usta moje nie wychylały już tyle w życiu swoim smakowitego piwa i in-

— Śmierć zbrodniarzowi! — zawołano.

— Według mnie — rzekł biskup — jakkolwiek zbrodnia jego jest wielką, ale gdyby mu Robert Hofstein życie dla miłości Boga darował i my nie mielibyśmy prawa śmiercią go karać.

— Śmierć jego nie wróci mi żony i syna, ale dla spokoju publicznego domagam się od prześwieznego sądu, aby winny ukarany był odjęciem czci i na wieczne skazany więzienie.

— Życie za życie, powinien zginąć — zawołali zgromadzeni.

— Ten, któremu wszystko zabrano i tak srodze go pokrzywdzono, nie żąda jego śmierci, azaż mamy być sroższymi od niego? — zapytał znowu biskup.

— Fehmgericht za taką zbrodnię śmiercią karze, raz dla przykładu, powtóre dla uwolnienia narodu od szkodliwego potwora! — zawołał poryczo jeden ze stowarzyszonych.

— Sądząc inaczej, postąpilibyśmy przeciwko prawu — zawołali inni.

*) Opis powyższej przysięgi jako i całego zebrania jest ściśle historyczny; głównym naczelnikiem Fehmgerichtu był arcybiskup koloński, oprócz niego należało doń wielu biskupów. Z ustaleniem się władzy cesarskiej w początku XVI w. sądy tajne zniesione zostały.

— Kłątwa kościelna, wyjęcie z pod prawa, odsądzenie od czei jest śmiercią dla świata, pozwala jednak zbrodniarzowi żałować za grzechy i resztę życia dla oczyszczenia się z onych na pokucie przepędzić — mówił biskup, usiłując w znanej swej dobroci nawet zbrodniarza uniewinnić.

— Śmierć, śmierć, śmierć! — zawołali trzykrotnie sprzysiężeni, podnosząc prawicę ku górze, jakby nią chcieli doraźnie wyrok swój wypełnić.

— Ha! nie mogę sprzeciwić się ustawie, niechaj więc sąd wasz się spełni i uczyni się zadość prawu naszemu — rzekł biskup z zasmuconem obliczem.

— A teraz, ja w imię sądów tajemnych, jako przewodniczący takowyn i na takowego z waszej woli wybrany, ogłaszam: ktokolwiek z was spotka Siebenhausę, ma obowiązek zabić go, pozostawiając przy nim sztylet ze znakami naszego stowarzyszenia, ażeby każdy wiedział, iż ginie na mocy prawa uznanego i sprawiedliwość czyniącego!

To rzekłszy, pobożny biskup upadł na kolana, a ukrywając twarz w dłonie, wyszeptał po łacinie:

— Panie mój zmiłowanie nad grzeszną duszą jego, a nie karaj sługi swego, że nie umiał przed sprawiadiwością ludzką winnego obronić.

Potem począł odmawiać głośno modlitwę za zmarłych, którą stowarzyszeni powtarzali.

Po skończeniu sądów i dopełnieniu przepisanych przez Fehmgericht formalności. I opuścili pieczarę tym samym porządkiem, zadowoleni, że według ustawy spełnili swój obowiązek.

Tylko biskup i Robert Hofstein mieli zasepione oblicza, pierwszy szeptał modlitwę, prosząc Najwyższego, ażeby zbrodniarzowi dał pocucie swej winy i szczerzy żal za popełnienie takowej, drugi może nawet nie myślał o Siebenhausie i o sądzie jaki w tej chwili nad nim zapadł, lecz szukał w myśli sposobu, któryby go na ślad ukochanych jego zaginionych naprowadził.

XIV.

POSAŁG.

Gdy Bogum przyszedł już zupełnie do sił i mógł dalszą odbywać podróż, wybrali się obadwaj z Mirkiem do Salzburga. Bogum znał miasto doskonale, chodził tam tyle razy z rybami a i w owym dniu kiedy straszna burza nawiedziła jezioro, powrócił właśnie ztamtąd, aby się rzucić na ratunek ginącym wśród wzburzonego jeziora.

Lecz od owego dnia upłynął już rok drugi, a przez umysł młodego rybaka tyle przesunęło się wrażeń, tyle przecierpiał, i tak jakoś inna przeszłość prawie bezwiednie zarysowała się w jego wyobraźni, tak żył tylko myślą odnalezienia rodziców, iż niekiedy zdawało się jemu samemu, iż ten dawny Bogum i on, to są chyba dwaj różni zupełnie chłopcy.

Czasem wprawdzie wybiegał myślą nad jezioro, chciałby zobaczyć swych towarzyszy a szczególnie Krystyana, małą Hutę, a nawet próżniaka Grypa, lecz to wszystko przesunęło się w jego myśli jako sen, który za otworzeniem powiek zniknął a przed nim snuły się inne obrazy. Góry, zamki, których nigdy nie widział i życie różne zupełnie od tego jakie nad jeziorem ongi prowadził. Jedną tylko babulę stała mu ciągle w myśli i często powtarzał:

— Jak ona tam sobie radę daje bezemnie?

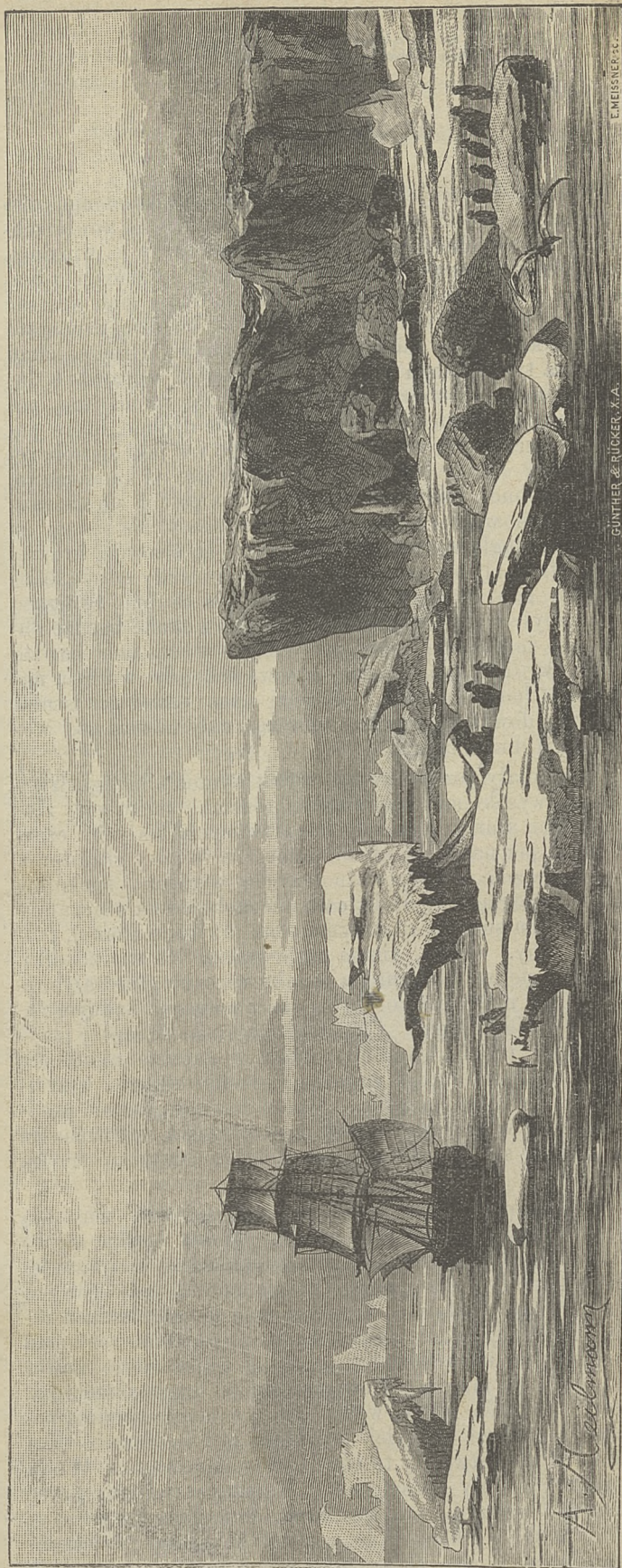
— Pójdziemy wkrótce do niej, do nich wszystkich — mówił wtedy Mirko — powołamy ich do pracy około owej soli i źródeł, któreśmy w górach odkryli.

— Pójdziemy, ale pierwej szukajmy matki mojej... mojego ojca — powtarzał uparcie chłopiec.

Mirko idąc do Salzburga zabrał też z sobą ową sól, mówiąc żartobliwie:

— Gdy nam pożywienia zabraknie, za tę garść soli, będziemy mogli łatwo dostać jedzenia, a choćby i na dwór biskupa trafimy, niosąc ją w podarku.

W rzeczy samej zaś chciał biskupowi tę sól okazać,



o wielkich źródłach i ich skuteczności opowiedzieć i postarać się o pomoc w ich urządzeniu. Upolował też po drodze piękną gemzę, a zarzucając ją na plecy z dumą stąpił po stromych górskich ścieżkach i w myśli układał sobie, że upolowaną zwierzynę zanieśe wprost na dwór dostojnika Kosiółka.

(d. c. n.)

Jak kamienie wędrują.

przez

M. HEILPERNA.

Na polach naszych łatwo znaleźć można kamienie, nieraz w znacznej ilości, różnej wielkości, zwykle na powierzchni szarej barwy, choć oczyściwszy, lub rozbiwszy je, widzimy, iż są złożone z różnobarwnych, różowych, czarnych i białych ziarn i że są tak twarde, iż stałą można z nich krzesać iskry. Spoglądając zwłaszcza na wielkie, bardziej rzucające się w oczy kamienie, zadawałem sobie nieraz pytanie, z jakiego one się na tych polach wzięły. Wierzyłem wprawdzie dawniej mocno w przysłowie, iż i kamień, leżąc na miejscu, porasta, iż rodzą się więc na polach kamienie drobne, które powoli powiększają się, rosną. Ale z czego i w jaki sposób rodzą się one? Dość późno dowiedziałem się, iż kamienie te, zarówno drobne, jak i wielkie, wcale na polach się nie zrodziły, iż one wcale w ciągu swego istnienia nie rosną, że przeciwnie, ciągle się zmniejszają, wietrzeją, ścierają, kruszą, że zanim znalazły się na polach naszych musiały odbyć daleką podróż, iż przybyły z różnych stron, iż drobne, tworzące żwir, przybyły z gór Karpackich, a wielkie z okolic bardzo dalekich, np. ze Szwecyi, choć stało się to w czasach bardzo dawnych w iście zamierzchłej przeszłości, gdy w kraju naszym nawet ludzi nie było, gdy kraj nasz nawet nie istniał jeszcze, znajdował się bowiem wówczas cały niemal pod wodą, stanowił dno morskie.

Wspaniały przedstawiają widok wyniosłe brzegi Szwecyi, usiane wysokimi, spadzistymi górami. Są to góry złożone z takich szarych, twardych, czerwonych, białych i czarnych ziarn, jak nasze kamienie polne, są to góry granitowe. Ich niebotyczne szczyty wznoszą się wyniosłe, spokojnie i smętnie, spoglądając wieki całe nieruchomo na otaczające ich morze i na surową, nieurozmaiconą przyrodę zimnej, północnej krainy. Gęsta, zimna mgła otacza ich wierzchołki, które zdają się być skazane na to, aby wiecznie sterczały nieruchomo, aby nigdy nie poruszyły się z miejsca, żadnym ruchem nawet nie drgnęły. Czyż można by znaleźć lepszy przykład stałości i niezmienności? Atoli w naturze niema nic stałego! Wszystko ulega zmianie i przekształceniu, wszystko zmienia z czasem miejsce. Nawet martwy głaz nie pozostaje wiecznie w spokoju; nawet twarda opoka, nieruchoma skała zmieni się kiedyś i poruszy. Na wszystko trzeba tylko czasu!

W jesieni deszcze obficie zlewają ziemię, zmywają skałę, ściekając po niej strumieniami. Woda wciska się we wszystkie, choćby najdrobniejsze szparki, szczelinki i zagłębienia w górach i skałach, a wkrótce potem, gdy chwycą pierwsze mrozy, woda w tych szczelinach i zagłębieniach zamarza. Marznąc woda powiększa swoją objętość, rozszerza się rozpychając nieco szczelinkę. Ztąd najtwardsze nawet skały pękają na mrozie. Powiększona ta drogą szczelinka, pomieści już nieco więcej wody, która zamarzając zimą powiększa ją jeszcze bardziej, rozszerza ją i wydłuża o taką odrobinę, iż nie łatwo by to oko ludzkie dostrzegło. Woda to jednak wytrwały pracownik. Z każdym rokiem pracę swą naprzód posuwa. o drobny krok, lecz stale i wytrwale. Szczeliny w skałe z biegiem lat i stuleci wciąż się powiększają, zbliżając się z różnych stron ku sobie, łącząc się wreszcie aż w końcu gładka pierwotnie powierzchnia głazu porośnięta jest w głębokie bruzdy. Nie jeden występ, lub szczyt góry zaledwie się w końcu w miejscu trzyma, aż wreszcie nadchodzi chwila, gdy z szumem i łoskotem odrywa się i stacza, z zajmowanego od wieków stanowiska, po pochyłości góry, porywając z sobą i strącając po drodze inne kamienie i rozbijając się nieraz na części. U stóp każdej góry mamy z tego powodu zawsze mnóstwo kamieni różnej wielkości.

Na brzegu morza, u stóp skały, czeka już na spadającą kamień statek, który go w dalszą poniesie drogę. Stat-

kiem tym jest potężna kra zamarzłej przy brzegu zatoki wody Runął głaz, wraz ze swymi drobniejszymi towarzyszami na krę przy brzegu, kra w pierwszej chwili ugięła się pod naciskiem spadłego ciężaru, ale wnet wypłynęła i odbiła od brzegu, unosząc na sobie kamienie. Nieraz nie jest ona w stanie utrzymać na sobie tak wielkiego ładunku, który też tuż przy brzegu tonie. Często jednak bywają kry tak wielkie, iż unoszą na sobie kamienie ogromnych rozmiarów, płynąc wraz z nimi daleko po morzu, popychane wiatrem i falami morskimi, zmieniając pod wpływem wiatru kierunek to w tę, to w inną stronę, przepływając nieraz całe morze aż do przeciwległego brzegu. Tak podróżują kamienie.

Promienie słońca coraz silniej przygrzewają. Pod działaniem tych promieni, pod działaniem wody i uderzania innych napotykanych po drodze ciał, kra topnieje powoli i ściera się. Nareszcie nie jest już w stanie utrzymać ciężaru, który tonie w wodzie. Rzucona falą o brzeg, jeżeli udało jej się do przeciwległego brzegu dopłynąć, rozbija się na części, zrzucając unoszone dotąd kamienie. Ztąd całe dno morskie w wielu miejscach pokryte jest kamieniami, które leżą tak pod wodą setki i tysiące lat. W wielu miejscach jednak, pod działaniem gazów wydzielanych przez rozpalone jądro kuli ziemskiej, skorupa ziemi unosi się w górę powoli, stopniowo i tą drogą dno morskie z biegiem wieków wyłania się nad powierzchnią wód, stając się lądem stałym. Tak stało się niegdyś i z północną częścią kraju naszego, który był dnem morskim, usianem kamieniami jakie obecnie znajdujemy na polach naszych, na które niegdyś, tonąc w morzu, opadły. Leżą one na polach do tysięcy lat, ale i ten stan ich nie jest wieczny.

Jak ongi tak i teraz kruszą się one i rozpadają powoli pod wpływem tej samej siły zamarzającej w nich wody. Małe ich szczątki, odpadając, unoszone są znów strumieniami wody do rzek które je posuwają coraz dalej. Po drodze, uderzając o dno i brzegi rzeki, o inne napotykane ciała, zmywane bezustannie wodą, ścierają się one i zaokrąglają, tworząc żwir, jakim dno i brzegi naszych rzek są usiane. Ziarna żwiru z biegiem czasu bardziej się jeszcze ścierają i zmniejszają, a przytem na powietrzu kruszą się i wietrzeją, zanieśniając się wreszcie w glinę i piasek, które rzeki znoszą napowrót do morza i wypełniają nimi zagłębienia dna morskiego. W ten sposób góry i wyniosłości na ziemi wciąż się powoli zniżają, dno morskie, doliny i zagłębienia, podwyższają, a wszystko pod działaniem wody tylko. Wielka to siła, ta woda, jeżeli jej sprzyja tak potężny sprzymierzeniec, jakim jest czas!

CUDOWNA WYSPA

Najnowsza powieść Juliusza Verne'a

przekład M. D.

(Ciąg dalszy).

— Słuszna, najzupełniej słuszna uwaga! W naszym mieście bowiem młode panienki uważają się dość już zręczne od samego urodzenia, gardzą więc wszelkim kierunkiem w tym względzie; mężczyźni zaś mniej pewni siebie, ale wiedzeni uczuciem miłości własnej, wolą brać lekcye w sekrecie w mym domu, aniżeli tam, na publicznej sali; takich też uczniów liczę bardzo wielu.

Gadatliwy metr tańca nie omieszkał, w dalszym ciągu rozmowy, opowiedzieć nieco o swem życiu. Urodzony w Paryżu, młodzieńcem jeszcze opuścił ojczyznę, udając się do Nowego Orleanu, gdzie między publicznością pochodzenia

przeważnie francuzkiego, nieodżałowanej nigdy Luisiany, znajdował zawsze dosyć powodzenia, w uprawianym przez siebie talencie.

Wyrobiwszy sobie wstęp do domów zamożniejszych rodzin, zdołał uzyskać pewne uznanie i więźność, tak, że z biegiem czasu mógł złożyć pewną sumkę oszczędności, która mu jednak w jednym z licznych amerykańskich krachów bezpowrotnie przepadła. Nieszczęśliwy ten wypadek miał niejśce właśnie w tym czasie, gdy Towarzystwo Standard-Island rozrzucało po całym świecie prospekta i doniesienia o powstaniu „Cudownej wyspy”, wzywając wszystkich bogaczy, wszystkich miliardowców, czy to bankierów, czy właścicieli kopalni, czy handlarzy solonem mięsem, aby spieszyli zaludnić miasto w którym jedynie używać mogą w całej pełni owoców długoletniej pracy i zabiegów.

Wówczas to, Atanazy Doremus powziął myśl starania się o posadę odpowiednią swemu talentowi, a będąc znanym rodzinie Coverley'ów, pochodzącej również z Nowego Orleanu, i w skutek tej dość wpływowej protekcji, zamieszkał w Miliard City na warunkach stałej rocznej pensji.

Wprawdzie obowiązkowych lekcji nie udziela on nigdy, dla prostej przyczyny zupełnego braku uczni, i w oznaczonych godzinach jedynie tylko drobna postać mistrza, odbija się w zwierciadłach balowej sali w Casino, lecz u siebie w domu bywa najczęściej dosyć zajętym w ciągu dnia każdego.

Z kolei Paryżanie opowiedzieli ziomkowi swemu okoliczności w jakich się dostali na Standard-Island, kładąc nacisk na szczegóły wypadku, z którego podstępnie skorzystać umiał Kalikstus Munbar, tak, że nim się opatrzyć zdołali, podniesiono już w porcie kotwicę i wyspa zawinęła na pełne wody Oceanu.

— Od naszego prezesa Sztuk Pięknych wszystkiego zawsze spodziewać się można. Figiel ten jest tylko jednym z licznych jemu podobnych, które z prawdziwie rzadką umiejętnością sprytna ta głowa urządzać umie. Nieodrodny to syn Barnuma! Obawiam się tylko, że kiedyś skompromituje jeszcze całe Towarzystwo. Rzadko spotkać człowieka, któryby tak mało liczył się z formami etykiety, kilka lecyi dobrego znalezienia się, przydałoby mu się bardzo! Jest to typ Yankesa zdolnego zasiąść w fotelu i oprzeć nogi na oknie! W gruncie jednak, nie zła to natura, grzeszy tylko zrozumiemieniem, że mu wszystko jest dozwolone. Pomimo to nie sądzicie drodzy ziomkowie, iż wypadnie wam kiedyś żałować, choćby tego jedynie roku przepędzonego w Miliard-City, znajdziecie tu bowiem takie uznanie, że upajającemu jego wpływowi trudno się oprzeć najsilniejszym nawet umysłom.

— Urok ten niezawodnie potęgować się będzie przy końcu każdego kwartału — zauważył wesoło Francolin, przejęty obowiązkami kasyera Kwartetu.

— To już inna kwestya, co do której sędzę, że zdania nasze nie różnią się — zapewniał pan Atanazy.

— A jakie jest pańskie zapatrywanie na wzajemny stosunek dwóch dzielnic waszego miasta? — pytał Ponchard.

— Sędzę, że jest to jedyna ciemna chmurka na błękitnym naszym horyzoncie — odpowiada poważnie zacy profesor — i szczerze obawiać się można, aby nas kiedy nie uraczyła niepożądaną wcale burzą. Obiedwie najbogatsze u nas rodziny Tankertonów i Coverley'ów współzawodnicząc o pierwszeństwo, stoją jeszcze dzisiaj na względnej etykietce, lecz za pierwszym drobnym starciem, może nastąpić wybuch.

— A więc eksplozja, w każdym razie jednak bez dynamitu! Całość więc wyspy nie jest zagrożoną, jak się zdaje, i możemy spokojnie kłaść się co wieczor na spoczynek! — żartował Ponchard.

— Dotąd przynajmniej, znajdować się tu jesteśmy zmuszeni — wtrącił kwaśnym tonem woloncelista.

— O, co do wyspy naszej, ta jest niewzruszoną — zapewniał Atanazy Doremus. — Od ośmnastu miesięcy, to jest od czasu jej istnienia, nie było wypadku jakiegokolwiek większego uszkodzenia, bo pomyślcie tylko panowie, toż ona ze stali cała, czy może być co trwalszego na świecie!

— Słuszna uwaga — odzywa się uczonym głosem Pon-

chard — jakież metal, jakie ciało zdolne jest stawić silniejszy opór nad stal hartowaną! Stal, toż to najlepsze części żelaza, a czemuż jest w gruncie rzeczy cała ziemia nasza, jeśli nie olbrzymim odłamem rudy żelaznej? Ze stali więc zbudowana pływająca wyspa, jest jakby drobną miniaturą kuli ziemskiej.

— Bądźmy więc o jej byt najzupełniej spokojni! — dorzuca Yvernes.

— A wasz prezydent, pan Cyrus Bikerstaff, jestże on również ze stali? — pyta Ponchard.

— Tak panie, jest to człowiek wielkiej energii i taktu niezrównanego, na nieszczęście przecie w Miliard-City nie wystarcza być ze stali tylko.

— A rozumiem, tu trzeba być ze złota...

— Niestety! a w dodatku dobrej próby złota, bo inaczej niema się żadnego waloru. To też pan Cyrus Bikerstaff, mimo wysokiej swej pozycji zostaje jedynie urzędnikiem, prezydującym we wszystkich sprawach cywilnych, pobierającym opłaty celne, zmuszonym mieć baczne oko na ład i porządek w mieście, jednym słowem narażającym się każdemu, poza tem jednak nic więcej, absolutnie nie!

— Owszem, pozostaje mu jeszcze trudność utrzymania w równowadze katolickiej i protestanckiej szali — zauważył Ponchard.

Dowcipne te słowa wywołały szczerzy uśmiech na usta obecnych, a zacy profesor tańca dodał:

— Och, bezwątpienia, zaszczyt to nielada być takim neutralnym przewodnikiem dwóch przeciwnych prądów, w tem na wskroś elektrycznem mieście! — Niedawno ludność protestancka osiedlająca się tutaj niby tylko dla wypoczynku zatekniła za ukochanym swym handelkiem, i na ogólnem zebraniu podniosły się głosy, aby wyspa w swych podróżach rozwiozła po Oceanii towary i produkta Ameryki. Co chcecie panowie, żyłka kupiecka prędzej czy później odezwie się zawsze nawet u posiadaczy miliardów. Z tego powodu powstały długie i gorące dysputy, bowiem prawa naszej wyspy zabraniają stanowczo wszelkiego handlu, wszelkich przedsiębiorstw, któreby mogły w ceniekolwiek krępować lub zamącić ogólny spokój mieszkańców.

Zegnając się z uprzejmym swym ziomkiem Koncertującym Kwartet, obiecał odwiedzać go częściej, teraz jednak nadeszła godzina, w której mistrz gracyi zwykły, obowiązkom swym czyniąc zadość, przechadzać się samotny po balowych salonach Casino. Tymczasem Standard Island posuwając się bezustannie naprzód, zbliża się w połowie czerwca do strefy goracej, i palące promienie słońca dokuczyłyby jej mieszkańcom w sposób bardzo przykry, gdyby nie orzeźwiał ich lekki powiew chłodniejszego powietrza morskiego.

— Można by sądzić, że to świetlana gwiazda dnia holuje naszą wyspę, albo jeżeli wolicie, że skrzydlate konie boskiego Apolina zaprzężone są do olbrzymiego tego wozu! — deklamował Yvernes. — Ale Sebastyan Vaillant, nieprzyjaciel wszelkiej egzaltacji, przyjmuje zdanie powyższe pogardliwym wzruszeniem ramion, tem więcej, że przy każdej sposobności nie omieszkuję powtarzać;

— Zobaczmy kiedyś, jak się ta nierozsądna awantura zakończy jeszcze!...

Wieczorem o chłodzie, całe towarzystwo Miliard-City pieszo, konno, lub w pojazdach używa ruchu po ulicach rozległego parku, i artyści francuscy podziwiać mogą kosztowne stroje pięknych „lady”, które ze szczególnem upodobaniem zmieniają swe toalety kilka razy dziennie, oddając zawsze pierwszeństwo lekkim gazom jedwabnym, albo też w modzie będącej materji, wyrabianej z celulozy, lub cieniuiteńko przędzonego włókna drzew sosnowych. Kwestya mody i ubrania zwykła tu wszystkich wyjątkowo zajmować, i nowości paryskie z gorączką nieledwie przyjmowane bywają przez tutejsze damy.

— Pewny jestem, że niezadługo ujrzymy tu jeszcze materje tkane z gałązek bluszczu, które będą symbolem wiernej przyjaźni, albo też z włókna płaczącej wierzy, noszonych w dowód głębokiego smutku, żartował dowcipny Ponchard,

Niekiedy, pośród tego eleganckiego tłumu, przesunie się poważna para króla i królowej Malekarlii którzy jakkolwiek pozabawieni dostojenstwa i tronu, zachowali dawną godność obok prostoty nieledwie. Widok zdetronizowanych tych władców prowadzących się skromnie pod rękę, nakłania artystów francuskich do poważnych rozmyślań nad niestałością losu, i nad wyższością ducha umiającego się wznieść ponad krótko trwałe względy tego świata.

Jakkolwiek mieszkańcy Standard-Islandu są dziećmi republikańskich na wskroś Amerykanów, nienniej przeto pocholebia im fakt, że za współobywateli uważać mogą dostojne postacie monarsze; chętnie też, przy każdej sposobności oddają im należne honory, nie zważając już tyn razem na to, że mimo dawnego stanowiska są to dzisiaj biedacy tylko, w porównaniu do ich własnych, prawdziwie bajecznych fortun.

Powodowany innymi może względami, Koncertujący Kwartet nie zaniedbuje pozdrawiać byłych monarchów, spotykanych dość często na ulicach miasta i w parku, z elegancją prawdziwie francuską, odbierając wzamian, również uprzejme uchylenie kapelusza. Jeżeli sposób podróżowania na pływającej wyspie jest wyjątkowo dogodnym i przyjemnym, jedynym nawet, możnaby powiedzieć, dla tych, którzy lękają się burz morskich lub nie znoszą kołysania nieuniknionego nawet na największych okrętach; jeżeli jest się tu bezpiecznym jak na każdym lądzie stałym, a płoną byłaby wszelka obawa rozbicia i zatonięcia, to znowu gdy Francolin i Ponchard przebiegają ten kawałek ziemi z jednego końca na drugi, zgadzają się najzupełniej w zdaniu, że wyspie brakuje tego właśnie co nadaje właściwy charakter okrętowi, a nie posiada też ona równocześnie uroku, najdrobniejszego nawet, lecz prawem natury powstałego łądu, zdolnego widokiem swym obudzić iskrę bożego natchnienia zarówno w poecie jak w malarzu.

Tak, bezwątpienia, Standard-Island jest niczem więcej jak geometrycznie zestawioną bryłą stalową, twardą i zimną jak materyał z którego powstała.

Eutuzystyczny nawet Yvernes przyznać w końcu musi że jakkolwiek wielkim może być umysł ludzki, niezdolnym jest jednak stworzyć cokolwiek, coby choć w części dorównało potędze natury; dziełu jego bowiem brakować zawsze będzie duchowego piętna wszechmocnej dłoni Stwórcy!

Równocześnie, gdy pływająca wyspa przejeżdżała linie pod „Zwrotnikiem Raka,” artyści wystąpili z drugim swym koncertem, przyjętym przez licznych słuchaczy z zapalem równym pierwszemu. Owszem, publiczność Miliard-City żywiej jeszcze zainteresowana znaną już a tak piękną muzyką, wydierała sobie poprostu bilety wejścia, chociaż przezorny Kalikstus Munbar podwoił prawie jeszcze wysoką ich pierwotną cenę. Na drobnostkę tę jednak nikt prawie nie zważał i sala koncertowa okazała się za małą, by pomieścić wszystkich amatorów harmonijnych tonów Mozarta, Haydn'a i Bethowena. Widocznie praktyczni Yankesi stwierdzili po pierwszym już koncercie zbawienny wpływ tej muzyki na stan swego zdrowia, jak pragnął tego dowieść artystom wymowny prezes Sztuk Piękich.

Gdy po skończonym koncercie wśród grzmiących oklasków najzupełniej zadowolony Kwartet opuszczał salę, ujrzał

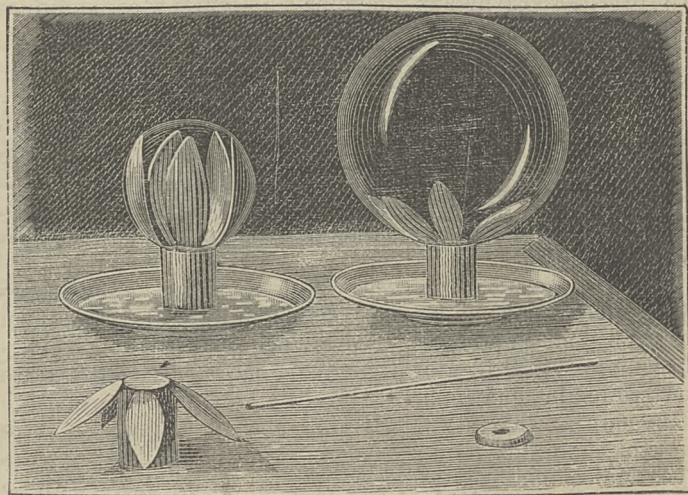
znowu wśród tłumu, „biedaków”, których nie stać było na zapłacenie trzystu sześćdziesięciu dolarów za fotel, stojących skromnie u drzwi wejściowych, króla i królowę Malekarlii.

ARCHIPELAG WYSP SANDWICH.

W kierunku, w którym podążała Standard-Island znajduje się na Oceanie Spokojnym całe pasmo, jakby olbrzymich wierzchołków gór, z których tylko: Nulzan, Kanai-Oalm, Molokai, Lawai, Mani, Kaluahani i Hawai wynurzają się nad powierzchnię oceanu, reszta ukryta pod wodą, tworzy ostre rafy, nader niebezpieczne dla żeglugi.

Ośm tych, nierównej wielkości wysp, oznaczone zostały w geografii pod nazwą, archipelagu hawajskiego, albo grupy wysp Sandwich, które ciągnąc się ukośnym łańcuchem od strony północno-wschodniej ku południowo-zachodniej i przekraczając zaledwie linie Zwrotnika, usuwają się w bok, na cztery tysiące metrów odległości od innych ziem Oceanii.

(d. c. n.)



Kwiatek w bańce mydlanej.

Ustawmy na spodeczku porcelanowym wysoki, gruby korek, może być ze słoika od musztardy, następnie z papieru cynowego zdjętego z tabliczki czekolady, lecz dobrze wyglądzonego wykrojmy rozetkę o sześciu listkach, rysując ją w kole od 8 do 10 cm. średnicy. Rozetkę tę zwilżmy płynem glicerynowym i przytwierdzmy szpilką do górnej części korka, jak nam to boczna wskazuje rycina. Wydmuchajmy teraz bańkę ze słomki lub rurki szklanej, zbliżając ją do środka rozetki, do której też przyczepi się zaraz, a zwiększając się zesunie po jej płatkach na dół aż do korka, zamknąwszy w sobie nasz srebrny kwiatek. Jeżeli wciągać będziemy oddech, bańka się zmniejszy i kwiatek ściśnięty jej cienkimi ściankami, zwolna zamykać się będzie, w bańce zwiększonej płatki kwiatka rozchylą się, jakby tenże rozkwitał. Szpilka może mieć ozdobny łebek, co zabawce doda jeszcze wdzięku.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Torquato-Tasso (z drzew.) — W pustyniach Australii p. Władysława Umińskiego. — Przylądek północny (z drzew.) — Górskie zameczysko, opowiadanie z XIV wieku p. Zuzannę Morawską. — Jak kamienie wędrują p. M. Heilperna. — Cudowna wyspa, najnowsza powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Kwiatek w bańce mydlanej (z drzew.) — **Dodatek:** Jaskowa bajka (z drzew.) — Filutka wiersz p. E. L. — Robaki p. A. M. — Łamigłówni i rozwiązania. — **Dodatek książkowy:** Dla szczęścia rodziny. Przekład Maryi B.



Była ona tylko taka duża, jak mój palec...

JĄSKOWA BAJKA.

— O, jakże tam chłodno, świeżo, miło i pachnąco było w tym cienistym borze!

Drzewa najróżnorodniejsze: dęby, buki, klony, brzozy, jawory cisnęły się jedne obok drugich, rozciągając młodocianą zieloność najrozmaitszych odcieni... A u stóp drzew wspaniałych tuliła się dziatwa leśna: krzaki leszczyny, kaliny, ożyny, głogu, babiego zębu, oplecione ciemnym bluszczem i dzikim chmielem. W niektórych miejscach, gdzie było trochę przestronniej, mięciuchna trawa, ozdobiona krasą różnobarwnego kwiecia, tworzyła wspaniałą kobierzec, a tak puszysty, że nogi w nim tonąć mogły.

W lesie panowała na pozór cisza, ale to tylko na pozór! Bo ileż tam życia mieściło się wśród gałęzi drzew, wśród gęstwiny krzaków, a nawet wśród źdźbeł trawy i drobnego mchu. Ileż tam tysięcy najrozmaitszych istot najdawało stałą siedzibę i dostatnie pożywienie, poczaw-

szy od wysmukłego jelenia, a skończywszy na pracowitej mrówce.

Zwierzęta leśne nie robią jednak wiele hałasu, a więc w pięknym, cienistym borze panowała cisza, przerywana tylko raz po raz kukaniem kukułki lub monotonem kuciem czarnego dzięcioła.

Do tego wspaniałego lasu pospieszało wąską ścieżką troje dzieci wiejskich: dziesięcioletni Piotrek, ciekawy, śmiały, zwinny, dla którego nie było nigdy zbyt wysokiej gałęzi i który też, dzięki temu, znał wszystkie ptaki i ich gniazda, jak swoją własną kieszeń. Na pochwałę Piotrusia trzeba jednak przyznać, że nigdy nie wybierał on gniazd ptasich, chciał tylko zapoznać się z ich budową i dowiedzieć, jakie który ptak jajka niesie.

Z Piotrkim wybrała się do lasu jego sąsiadka, ośmioletnia Marysia, wesola, jasnowłosa dziewczeczka, a za nimi podążył Jasiek, syn owczarza, rówieśnik Piotrusia, którego tu we wsi „bajarzem” zwano, bo układał — tak na poczekaniu — różne osobliwe bajki i opowiadał je dzieciom, a nieraz nawet i starszym.

— Co też to temu chłopakowi po głowie się roi! — powtarzał często Józef, młody owczarek. — Żeby to ja umiał takie różne historye wysnuwać!... Ale nieraz, chodząc za owcami, myślę, myślę, że mię i łeb zaboli, a nie wymyślić nie potrafię.

— Może z niego będzie nauczyciel, albo nawet i ksiądz — dodawał kolega Józefa, Bartek. Żeby to ja był owczarzem, tobym chłopaka posłał do szkoły do miasta, ale stary Szymon skąpy i żal mu pewnie grosza na naukę.

Szymon nie był jednak skąpy; radował się tą dziwną zdolnością syna i często z panem nauczycielem rozmawiał o Jaśku i radził go się, co z chłopcem zrobić w przyszłości. Nauczyciel, człowiek bardzo zacny i światły, mówił, że jak na teraz może się uczyć jeszcze u niego, a co dalej będzie, to się zobaczy.

Jasiek tymczasem chodził więc do szkoły we wsi, tam czytał, pisał, rachował, a często wieczorem, gdy się zebrali starsi gospodarze w chacie owczarza, to kazali Jaśkowi, tak sobie dla zabawy, bajki opowiadać. Jasiek nie dał się dwa razy prosić; prawił różne dziwy, wywołując śmiech i zdumienie. Najbardziej jednak lubił opowiadać swoje bajki innym dzieciom i w nich to miał najgorliwszych i najuważniejszych słuchaczy.

Ta więc trójka szczęśliwa, wesoła, zarumieniona pospieszała pędem do lasu. Ale zaledwie dzieci wpadły w gęstwinę, każde pobiegło w inną stronę: Pietrek za gniazdami, Marysia za kwiatkami, a Jasiek powędrował nad strumień i usiadł na murawie. Słuchał cichego szmeru srebrzystej wody, słuchał śpiewu ptaków i ćwierkania koników polnych; rozglądał się w około, patrzył na fruwające motyle, brzęczące osy i bąki, a słuchając tych głosów przyrody i patrząc na jej cuda, tworzył w swej fantazyi różne nowe, piękne obrazy, które wraz z leciuchnym wiatru powiewem przenikały całą jego istotę, a w jasnej głowie obierały stałe siedlisko.

Z dobrą godzinę siedział tam Jasiek; nie nudziło mu się jednak wcale i byłby sobie chętnie dumał choćby do wieczora, ale usłyszał zdaleka, od krańców lasu wesołe: „hop, hop” Marysi.

Za ciekim głosem Marysi, rozległo się trochę grubsze: „hop, hop” Piotrka.

Jasiek zerwał się z miejsca, pobiegł w stronę, skąd słyhać było nawoływanie i wkrótce złączył się z towarzyszem i towarzyszką, którzy siedzieli tu na brzegu lasu, wyczekując na Janka.

— No, Janku, jesteś nareszcie! Gdzieżeś ty bywał? — spytała Marysia.

— Szkoda, że cię ze mną nie było — rzekł Pietrek. — Znalazłem gniazdo kosa i żoły. Żoła uwiła je sobie wysoko, wysoko na cienkiej gałązce; gałązeczka się chwiała, myślałem już, że dam niechęcy susa, jak wieiórka tanecznicą i kozła wywróćą na murawie, ale chwiała Bogu, tak źle się nie stało. Jajek było w gnieździe pięć, a wszystkie śliczne, jak malowane.

— A ja tyle kwiatów nazbierałam: smółki, goździki, dzwonki, boże laseczki; uwiję z nich wianek i zawieszę na figurze świętego Jana, twego patrona.

— No, a ty, Janku, cóżeś robił? W której stronie lasu byłeś? zapytał znowu Pietrek.

— Pewnie siedział cicho, dumał wedle zwyczaju i nowe bajki wysnuwał! Powiedz, powiedz nam bajkę, tę ostatnią, która ci dzisiaj, teraz przyszła do głowy...

Jasiek uśmiechnął się; oczy jego zapłonęły dziwnym blaskiem, rad był, że go chce ktoś słuchać, a zwłaszcza Marysia, która go tak słuchać i podziwiać umiała i usiadłszy obok dzieci rozpoczął w te słowa:

— Było to dzisiaj, wczoraj, może przed tygodniem, może przed rokiem, dość, że było... Szedłem sobie około wielkiego tam żyta, które już kłosić się zaczynało.

— O, to chyba nie w tym roku — przerwała Marysia — bo mamy dopiero początek maja, a tatulo mówi zawsze, że „święta Zofia, kłoski wywija, a do świętej Zofii jeszcze blisko dwa tygodnie. Wiem o tem dobrze bo to imieniny tej panienki ze dworu, która mię uczy robić szydełkiem.

— Kiedy chcesz bajki, to nie przerywaj — rzekł rezolutny Piotrek, a zwróciwszy się do Janka, dodał:

— No, mów dalej, bo pewnie to będą znowu różne osobliwości...

Wtedy Jasiek uśmiechnął się raz jeszcze i prawił, co następuje:

— Żytka zaczynało się już kłosić. Na cienkich zielonych źdźbłach, nie wiadomo skąd, znalazły się naraz jakby piórka, jakby zwinięte chorągiewki, które kiwały na mnie i mówiły wyraźnie:

— A co, lubisz chleb? To my ci damy chleb!

Nad drogą leżał wielki głaz, usiadłem więc na nim i zacząłem także kiwać na kłosy, odpowiadając im z uśmiechem:

— Lubię, lubię chleb, zwłaszcza razowy, świeży, gorący i gdy go moja matuś upiecze...

Wtem zaszeleściło zboże i w bródce, pomiędzy dwoma zagonami, ukazały się istne dziwy. Jak jakie małe wojsko, wymaszerowały wróble, idąc w rzędzie i podskakując rażno, wiele równiej, niż my w szkole na gimnastyce. Za wróblami szły krety także w pięknym ordynku; było ich może ze czterdzieści. Za kretami frwały niziutko trznadle i śliczne, modre sikory.

Otworzyłem oczy, jak mogłem najszerzej i patrzałem, oj! patrzałem, aby nic z tego dziwnego widoku nie stracić. Naraz, za sikorami, wytoczył się śliczny, mały pojazd, jakiego niema ani u naszego dziedzica, ani nawet u hrabiego w Dąbrowce. Była to bardzo malutka bryczuszka, upleciona z samych bławatów, a zaprzężona w dwanaście koników polnych. Na koźle siedział szklarczyk z przezroczystymi skrzydełkami, trzymając cieniutki bacik, zapewne utkany z pajęczyny... Spojrzałem na dziwnego stangreta, lecz wnet przestałem na niego patrzeć, bo oczy moje spoczęły na ślicznej pani, siedzącej w bryczuszcze. Była tylko taka duża, jak mój palec, ale tak cudna, tak pięknie ubrana, że wzroku od niej oderwać nie mogłem.

Sukienkę miała ponsową, utkaną pewnie z płatków polnego maku, na głowie koronę z kropel rosy, które błyszczały w słońcu wszystkimi kolorami tęczy, a w ręczce trzymała parasolkę z pięknej, białej stokrotki.

Koniki polne pomykały rażno, bryczuszka posuwała się prędko, a za nią w bródzie ujrzałem znowu

całe bataliony: kretów, ptaków, motyli i świerszczów. Nareszcie cały orszak wjechał na drogę i wstrzymał się przed kamieniem, na którym siedziałem.

Patrzałem na wszystko zdziwiony, nie mówiąc i słowa.

Milczenie przerwała piękna, małeńka pani i zwracając się do mnie, rzekła cieniutkim głosem:

— Wielkoludzie, czy długo tu jeszcze siedzieć będziesz?

— Niedługo łaskawa pani, kłaniając się nisko, odpowiedziałem śmiało, bo, rozumie się, że takiego maleństwa nie potrzebowałem się obawiać.

— Nie jestem żadną szanowną panią, ale Pszeniczką, najjaśniejszą królową zbóż.

(d. n.)

FILUTKA.

— Julciu! — wołała matka — odejdz od zwierciadła; Próżność brzydką jest wadą dla młodej dziewczynki! Ale Julcię uporu brzydka myśl napadła I stała sobie tutaj, śmieszne strojąc minki. Dopiero kiedy zakaz zabrzmiał jej powtórnie, Niechętnie się własnego zrzekając widoku, Z brzydkim kaprysem w twarzy, spoglądając chmurnie, Cofnęła się chcąc stanąć gdzieś dalej na boku. Ale mama ją nowym wezwiała rozkazem: — Teraz wróć do zwierciadła, abyś mogła przecie, Nacieszyć się dowoli przyjemnym obrazem, Jaki przedstawia krnąbrne, nadąsane dziecią! — O! tegom nie ciekawa, bo to nazbyt boli, Widzieć jakiś dziwotwór z miną złą i sprzeczną. Wolę już kiedyś później, gdy mama pozwoli, Zobaczyć tam panienkę posłuszną i grzeczną!

F. L.

ROBAKI.

— Ach! szkaradny robak! — woła zawsze dziewięcioletni Kazio, gdy dojrzy wysuwającego się z kąta stonoga.

Siostra Kazia, Marynia, najczęściej słyszy ten okrzyk gdyż w jej pokoiku stoi kilkanaście doniczek z pięknymi roślinami, a te nieżnośne stonogi bardzo lubią pod doniczkami przebywać, nawet mieszkać, gdyż tam nie dochodzi do nich światło, którego unikają na równi z nietoperzami, sowami i t. d.

Marynia podzielała nienawiść Kazia do stonogów, to też braciszek zdziwił się bardzo gdy pewnego dnia, przedstawiając doniczki, nietylko spokojnie zniosła obecność robaków, lecz nawet odezwała się:

— Ależ mój Kaziu, stonóg nie jest wcale robakiem!

— Co? — rozśmiał się braciszek; — więc czemuż jest, chciałbym wiedzieć?

— Stawonogiem, z gromady skorupiaków.

— Cóż to jest stawonóg? — zapytał po chwili Kazio — bo co do skorupiaków, wiem, że raki do nich należą; twoje stonogi do raków wcale nie podobne, więc moja mądra siostra omyliła się z pewnością.

Marynia o dwa lata starsza od Kazia, powinna była spokojnie znieść jego uwagę, lecz, że była żywą dziewczynką, zawołała niecierpliwie:

— W każdym razie jestem od ciebie mądrzejsza, bo uczę się już zoologii, a ty nawet nie rozumiesz co ten wyraz znaczy. Powtarzam, że stonogi nie są robakami, spytaj mamy lub panny Zofii czy mam słuszość.

— Ale dla czegoż nie są robakami? — zapytał Kazio, przechylając na bok głowę, jak to czynił zawsze, ile razy mu coś do przekonania nie trafiło. Wszyscy tak dotąd mówili, nawet starsi, ty dopiero pierwsza prawdę odkryłaś!

— A tak! — przekomarzała się Marynia. — A tak! lecz nie raczyła dać bratu żadnych objaśnień i dalej przedstawiała doniczki, starannie obcierając tu i owdzie pozółtkie lub zeschłe listki.

— Siedź sobie ze swemi skorupiakami, stawonogami, — odezwał się wreszcie Kazio — ja pójdę do naszej nauczycielki, ona powie mi kto z nas ma słuszość.

Po kilku minutach powrócił rozradowany, w podskokach przebiegając pokój.

— A widzisz — zawołał — choć nie uczę się jeszcze zoologii, już wiem jaka jest różnica między robakami a stawonogami stworzeniami. Panna Zofia powiedziała mi to zaraz, bo lepsza jest od ciebie.

— Więc... — zapytała Marynia.

— Więc, zamiast kiwać jak ty głową i powtarzać: a tak! powiedziała. „Mój Kaziu, pamiętaj, że robaki wcale nóg nie mają, zatem stonóg, chociaż ma tylko siedm par nóżek, robakiem być nie może. Należy zaś do stawonogów, bo ma ciało podzielone na części zwane stawami, a z każdego takiego stawu wyrasta para nóżek.

— Bardzo dobrze powtórzyłeś moje słowa — odezwała się nauczycielka, która tymczasem niepostrzeżona przez dzieci weszła do pokoju.

— Cemuż to Marynia nie wyjaśniła Kazia — dodała zwracając się do dziewczynki.

— Bo... bo... — jękała się Marynia — on mnie niecierpliwiał i od razu mi zaprzeczył.

— Bo przecież Marynia mylić się może — zawołał Kazio.

Zaczynała się już nowa sprzeczka, lecz na szczęście przerwała ją panna Zofia.

— Więc cóż stąd — rzekła — że Kazio zaprzeczył i że Marynia mylić się może. Jest to rzeczą bardzo zwykłą, że ktoś usłyszawszy rzecz jakąś po raz pierwszy, nie chce lub nie może w nią uwierzyć. Nie należy jednak zaraz zaprzeczać, jak to uczynił Kazio, lecz poprosić o objaśnienia, samemu zastanowić się nad nimi i wtedy dopiero sąd wydać, czy to, co usłyszeliśmy może być prawdą lub nie. Każdy też omylić się może; pocóż jednak obrażać się lub gniewać, jeśli nas ktoś o pomyłkę posą-

dzi? Czy to nie ładniej będzie w takim razie rzecz objaśnić?

— To prawda — odparła Marynia trochę zawstydzona.

— A więc nie sprzecajmy się — dodał Kazio; — co zaś do stonogi, to choć do robaków nie należy, jest to brzydkie stworzenie, którego widoku wcale nie pragnę.

— Brzydkie, to prawda — odparła Marynia — lecz nie szkodliwe dla ludzi. Pomimo to, wyrzucać je zawsze będę do ogrodu, ale nie zabijać. Cóż stonogi winne temu, że nie podoba się nam ich płaskie, szare ciało?

— Proszę pani — odezwał się jeszcze Kazio — a dla czego Marynia nazywała stonogę skorupiakiem?

— A tobie ten wyraz raki przypomniawszy zapewne — odparła z śmiechem panna Zofia. Dowiesz się o tem później z zoologii. Dzisiaj nabyłeś już wiadomość dość ważną, umiesz odróżnić robaka od stawonoga.

A. M.

SZARADA.

E. L.

Pierwsze z trzeciem tnie trawy, lub gwizdże i śpiewa,

Drugie z trzeciem obfite jest w grzyby i drzewa.

Wszystko stoi spokojnie, lecz raz z woli panów,

Wprowadzone w ruch, pędzi wśród kurzu tumanów.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożyła Polka - Mazurka.

Ułożyć 8 wyrazów, którychby początkowe i końcowe litery połączone spójnikiem, złożyły nazwy dwóch kartagińskich bohaterów. Znaczenie wyrazów: 1) Jedna z wysp Wiel. Antylle. 2) Bóg u Mahometan. 3) Wyspa na morzu Śródziemnem. 4) Płaskowzgórze w Azji od gór Hindakusz. 5) Miasto we Włoszech nad rzeką Addą. 6) Zwierzę z gromady skorupiaków, krótko ogoniastych. 7) Najpiękniejszy w całej Europie zabytek architektury mauropyńskiej. 8) Jeden z siedmiu aniołów, stojących ciągle przed tronem Boga.

Sylaby: Al — al — bra — di — ha — ham — i — i — krab — lah — lo — mal — fa — ran — ra — ti — ta — el.

KWADRAT MAGICZNY.

a	a	a	a	Minerał dzielący się na cienkie listki.
a	a	b	k	Syn Dedala.
k	k	i	i	Skutki winy.
m	r	r	r	Mieszkaniec Azji.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 21-go.

Łamigłówek: Jaskółka.

Logogryfu:

1) Matapan. 2) Ignacy. 3) Ezop. 4) Janina. 5) Sewastopol. 6) Eol. 7) Rodan. 8) Cecora. 9) Efez. 10) Izydor św. 11) Pernambuko. 12) Ametyst. 13) Tobiasz. 14) Róża. 15) Zagrzeb. 16) Ananas. 17) Jadwiga. 18) Walencya. 19) Skowronek. 20) Europa. 21) Roraty. 22) Cytra. 23) Elster.

„Miej serce i patrzaj w serce”.

Łamigłówki kryształowej:

	W				
	M	a	k		
W	a	n	d	a	
	E	d	e	n	
		a			

Skrzynka do listów.

Francuskie przysłowie uczy: lepiej późno niżeli nigdy — trzymając się tej zasady wolimy, na list *Dody N.* odpisać teraz jak pominąć go milczeniem. Upewniamy ją więc, że nie jesteśmy obojętni na objawy życzliwości naszych czytelników, cieszymy się bowiem widząc, że znajdują w Wieczorach rozrywkę przyjemną i pomocną w ich kształceniu.

Nie możemy pamiętać kochana *Czarnotka* czy wśród wielu innych, doszła nas i twoja posyłka z lalką i zabawkami dla dzieci w szpitaliku, gdyż tylko nadesłane pieniądze zapisujemy, posyłki zaś odsyłamy zaraz na miejsce przeznaczenia. Za rs. 2 w imieniu biednych dzieci dziękujemy ofiarodawczyniom.

Wandzia i *Jadwisia* hojnie zaopatrzyły w odzież dzieci wyjeżdżające na kolonie letnie zaoszczędzonym ubraniem, za co w ich imieniu dziękujemy.

Gwiazdce donosimy że niema żądanej przez nią metody włoskiej.

H. I. Pojedynczych arkuszy żądanej powieści już nie mamy. Cała w księgarniach gdzie tylko nabyć ją można, kosztuje rs. 1 kop. 80, bez przesyłki. Początek: *Dla szczęścia rodziny* wysłano.

Za bardzo dobre rozwiązanie dość trudnej łamigłówki sylabowej należy się *Kiwanowi A.* pochwała, dobre rozwiązania także, nadesłali: *czer. Makówka Józio* i *Staś R.*

Czy istotnie potępiasz mnie za to *Srebrna Gwiazdeczko*, że obowiązkiem stawiam wyżej nad własną przyjemnością i że zamiast rozwinać skrzydełka do swobodnego lotu, wyrwam z nich pióra, aby pisać nimi do naszych korespondentek? Któż z nas obecnie nie miałby ochoty bujać po polach i lasach, odpoczywać pod cieniem drzew w ogrodzie, oddychać balsamicznym powietrzem pól i łąk a jednak nad te rozkosze miłsze dla serca nawet małej ptaszynki, zadowolenie wewnętrzne płynące z poczucia, że spełnia zadanie swoje wedle sił i możliwości. Nie dziw się zatem że chociaż duszno i skwarno w mieście, zamieszkuje tu wierna wam

Jaskółka.

NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Przepiórks rs. 1. Brońcia B. Brz. rs. 1 i ubrania. *Czarnotka* z mamą rs. 2. Myszką polną rs. 2 *Wandzia* rs. 1. *Janeczka* kop. 50. *Sławcia*, *Helenka*, *Manusia* kop. 45.

Na pogorzalców: *Kazio* z *Kutna* rs. 1. *Halinka*, *Stasia*, *Irenka*, *Zosia*, *Dziutka*, *Lulusia* i *Tol* rs. 3.

Na paralityków. *Janeczka H.* kop 50.